

STEPHEN
KING
LAURIE

Przełożył
Tomasz Wilusz

Prószyński i S-ka

Copyright © 2018 by Stephen King

Copyright © for the Polish edition by Prószyński Media Sp. z o.o.

Pół roku po śmierci żony, z którą przeżył czterdzieści lat, do Lloyda Sunderlanda na Cayman Key przyjechała jego siostra z Boca Raton. Przywiozła ze sobą ciemnoszarego szczeniaka. Powiedziała, że to krzyżówka border collie z mudi. Lloyd nie miał pojęcia, co to jest mudi, i nic go to nie obchodziło.

– Nie chcę psa, Beth. Za nic w świecie. Ledwo umiem zadbać o siebie.

– Widzę – powiedziała, odpinając szczeniakowi małą smycz. Wyglądała jak zabawkowa. – Ile straciłeś na wadze?

– Nie wiem.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Powiedziałabym, że z siedem kilo. Na tyle możesz sobie pozwolić, ale na niewiele więcej. Zrobię ci jajecznicę z kielbasą. I grzanekę. Masz jajka?

– Nie chcę jajecznicy z kielbasą – powiedział Lloyd, obserwując psa, siedzącego na włóchatym białym dywanie. Ciekawe, kiedy zostawi na nim wizytówkę, pomyślał. Dywan przydałoby się porządnie odkurzyć i może wyczyścić specjalnym szamponem, ale jeszcze nigdy nie został obsikany. Pies patrzył na Lloyda swoimi bursztynowymi oczami. Prawie badawczo.

– Masz jajka czy nie?

– Tak, ale...

– A kielbasę? Nie, oczywiście, że nie masz. Pewnie żywisz się mrożonymi goframi i zupami Campbell’s. Skoczę do Publix. Najpierw jednak zobaczę, co masz w lodówce i czego jeszcze ci potrzeba.

Była od niego pięć lat starsza, praktycznie wychowywała go po śmierci ich matki i w dzieciństwie nigdy nie umiał jej się postawić. Teraz byli starzy i nadal tego nie potrafił, zwłaszcza odkąd odeszła Marian. Lloyd miał wrażenie, że odwaga zupełnie w nim zanikła. Może powróci, może nie. W wieku sześćdziesięciu pięciu lat chyba trochę na to za późno. Jednak co do tego psa – nie, tym razem musiał wyrazić sprzeciw. Na litość boską, co Bethie strzeliło do głowy?

– Nie wezmę go – powiedział do jej pleców, kiedy na swoich bocianich nogach pomaszerowała do kuchni. – Kupiłaś go, możesz go zabrać z powrotem.

– Nie kupiłam. Matka to czystej krwi border collie, która na chwilę uciekła z domu i puściła się z psem sąsiada. Rasy mudi. Właściciel matki rozdał ludziom pozostałe trzy szczeniaki, ale ta suczka była najślabsza w miocie i nikt jej nie chciał. Facet... prowadzi małe gospodarstwo warzywne... już miał ją zabrać do schroniska, kiedy przypadkiem tamtędy przejeżdżałam i zobaczyłam ogłoszenie na słupie telefonicznym. „Kto chce psa?”, takiej było treści.

– I pomyślałaś o mnie. – Wciąż obserwował szczeniaka, a szczeniaka jego. Postawione uszy wydawały się największą częścią ciała małej suczki.

– Tak.

– Beth, jestem w żałobie. – Była jedyną osobą, której mógł bez ogródek przedstawić swoją sytuację, i przyniosło mu to ulgę.

– Wiem. – Butelki zabrzęczały w otwartej lodówce. Na ścianie widział cień Beth; pochylona, robiła inwentaryzację jego

zapasów. Naprawdę jest bocianem, pomyślał, człowiekiem-bocianem, i pewnie będzie żyła wiecznie. – Będąc w żałobie, trzeba mieć coś, czym można zająć myśli. Coś, o co można dbać. Tak pomyślałam, kiedy zobaczyłam to ogłoszenie. Liczy się nie to, kto chce psa, tylko to, kto go potrzebuje. A w tym przypadku to jesteś ty. Jezu Chryste, ta lodówka to hodowla pleśni! Niedobrze się robi.

Szczeniak podniósł się, niepewnie postąpił krok w stronę Lloyda, po czym rozmyślił się (o ile psy myślą) i usiadł z powrotem.

– Sama ją weź.

– Wykluczone. Jim jest uczulony.

– Bethie, macie dwa koty. One mu nie przeszkadzają?

– Nie. I koty nam wystarczą. Jeśli taka jest twoja wola, po prostu zabiorę małą do schroniska w Pompano Beach. Czekają trzy tygodnie, a potem usypiają zwierzaki. Jest ładna, ma taką przydymioną sierść. Może ktoś ją do tego czasu weźmie.

Lloyd przewrócił oczami, choć przez ścianę nie mogła tego zobaczyć. Często robił tak jako ośmiolatek, kiedy zapowiadała mu, że jeśli nie posprząta swojego pokoju, dostanie w tyłek rakieta do badmintonu. Pewne rzeczy się nie zmieniają.

– Dobrze już, biję się w pierś, sypię głowę popiołem – powiedział. – Beth Young, mistrzyni szantażu emocjonalnego.

Zamknęła lodówkę i wróciła do salonu. Szczeniak zerknął na nią, po czym znów skupił wzrok na Lloydzie.

– Idę do Publix, gdzie spodziewam się wydać dobrze ponad sto dolarów. Przyniosę ci paragon i zwrócisz mi całą sumę.

– A co mam robić do tego czasu?

– Może zawrzesz znajomość z bezbronnym szczeniaczkiem, którego chcesz posłać do komory gazowej? – Schyliła się i pogłaskała pieska po łbie. – Spójrz na te pełne nadziei ślepka.

Lloyd widział w tych bursztynowych oczach tylko czujność. Taksowanie.

– Co mam zrobić, jeśli naszcza na dywan? Położyliśmy go tuż przed tym, jak Marian zachorowała.

Beth wskazała na małą smycz leżącą na pufie.

– Wyjdź z nią na zewnątrz. Pokaż jej zarośnięte klomby Marian. A tak nawiasem mówiąc, szczyny niespecjalnie zaszkodziłyby temu dywanowi. Jest paskudnie brudny.

Złapała torebkę i ruszyła do drzwi, jak zawsze dostojnie przebieając chudymi nogami.

– Zwierzak to zdecydowanie najgorszy prezent, jaki można komuś dać – zawołał za nią Lloyd. – Czytałem o tym w Internecie.

– A tam, jak się domyślam, wszystko jest prawdą.

Zatrzymała się i obejrzała na niego. Ostre wrześnie światło zachodniego wybrzeża Florydy padło na jej twarz, ukazując szminkę rozlewającą się do cienkich zmarszczek wokół ust, obwisłe dolne powieki i delikatne zawijasy żył pulsujących w skroni. Niedługo skończy siedemdziesiątkę. Jego żwawa, pewna siebie, wysportowana, niedająca sobie w kaszę dmuchać siostra była stara. On też. Byli dowodem na to, że życie to nic innego jak krótki sen śniony letnim popołudniem. Tyle tylko, że Bethie wciąż miała męża, dwoje dorosłych dzieci i czwórkę wnuków – miło ze strony natury, że pozwoliła im się pomnożyć. Jego Marian odeszła; dzieci się nie dochowali. I teraz miałyby zastąpić swoją żonę nierasowym szczeniakiem? Pomyśl kliwy i idiotyczny jak tekst z okolicznościowej pocztówki, i równie nierealny.

– Nie zostanie u mnie.

Posłała mu to samo spojrzenie, które pamiętał z dzieciństwa, mówiące, że jeśli się nie ogarnie, rakietka do badmintona pójdzie w ruch.

– Zostanie, przynajmniej dopóki nie wrócę z Publix. Mam jeszcze parę innych spraw do załatwienia. A psy zdychają w nagranych samochodach. Zwłaszcza młode.

Zamknęła drzwi. Lloyd Sunderland, emeryt, od pół roku wdowiec, ostatnio nieszczerze zainteresowany jedzeniem (ani innymi doczesnymi przyjemnościami), wpatrywał się w nieproszonego gościa siedzącego na jego włochatym dywanie. Pies odwzajemniał spojrzenie.

– Na co się gapisz, głupia?

Szczeniak wstał i podszedł do niego. Właściwie nie tyle podszedł, ile przyczłapał, jakby brnął w wybująłych chwastach. Usiadł przy jego lewej nodze i podniósł wzrok. Lloyd ostrożnie opuścił dłoń, spodziewając się ugryzienia. Pies tylko go polizał. Lloyd wziął smycz i przypiął ją do małej różowej obroży.

– Chodź. Zejdź z dywanu, dopóki nie jest za późno.

Pociągnął za smycz. Szczeniak tylko siedział i patrzył. Lloyd westchnął i wziął suczkę na rękę. Znowu polizała go po dłoni. Wyniósł ją na zewnątrz i postawił na ziemi; dawno nie kosił trawnika i prawie w nim zniknęła. Beth miała rację co do kwiatów. Wyglądały okropnie, połowa była martwa, tak jak Marian. Uśmiechnął się na tę myśl, choć sumienie upomniało go, że takie porównania mogą bawić tylko złych ludzi.

W trawie suczka człapała jeszcze bardziej pokracznie. Przeszła kilkanaście kroków, po czym opuściła zad i się wysikała.

– Nieźle, ale i tak cię nie wezmę.

A jednak już podejrzewał, że Beth wróci do Boca bez tej psiny. Że ten nieproszonego gość zostanie z nim, w domu oddalonym o kilkaset metrów od mostu zwodzonego, który łączył Key ze stałym lądem. To się nie sprawdzi, nigdy w życiu nie miał psa, ale dopóki nie znajdzie kogoś, kto by ją wziął, przynajmniej

może dzięki niej będzie miał do roboty coś ciekawszego niż oglądanie telewizji czy siedzenie przy komputerze, stawianie pasjansa lub przeglądanie stron internetowych, które w pierwszych dniach emerytury wydawały się interesujące, a teraz śmiertelnie go nudziły.

Kiedy prawie dwie godziny później Beth wróciła, Lloyd znów siedział w swoim wygodnym fotelu, a szczeniak spał na dywanie. Siostra, która działała mu na nerwy przez całe jego życie, dziś rozdrażniła go ponownie, nakupowała bowiem znacznie więcej rzeczy, niż się spodziewał. Przytaczała wór pokarmu dla młodych psów (oczywiście ekologicznego) i duży pojemnik naturalnego jogurtu (po dodaniu do posiłków szczeniaka rzekomo miał wzmocnić chrząstkę uszu przypominających anteny radarowe). Przyniosła też podkłady higieniczne dla psów, legowisko, trzy gryzaki (z których dwa irytująco piszczały) i kojec dla dziecka. „Żeby szczeniak w nocy nie pętał się po domu”, stwierdziła.

– Jezu, Bethie, ile to kosztowało?

– W Targecie była wyprzedaż – wymigała się w dobrze mu znany sposób. – Gratis. Ja stawiam. A zatem, skoro już to wszystko kupiłam, czy nadal chcesz, żebym ją oddała? Jeśli tak, sam odwieziesz cały towar z powrotem do sklepu.

Siostra jak zawsze go ograła. Zdążył się do tego przyzwyczaić.

– Zostanie na próbę, ale nie podoba mi się, że obarczasz mnie taką odpowiedzialnością. Zawsze byłeś tyranem.

– Fakt – powiedziała. – Musiałam, skoro mama umarła, a tata był funkcjonującym, choć w gruncie rzeczy beznadziejnym pijakiem. To jak, zrobić ci tę jajecznicę?

– Dobrze.

– Nasikała już na dywan?

– Nie.

– Kwestia czasu. – Ta perspektywa, o dziwo, zdawała się ją cieszyć. – I wielka tragedia się z tego powodu nie stanie. Jak ją nazwiesz?

Jeśli nadam jej imię, będzie moja, pomyślał Lloyd. Podejrzewał jednak, że suczka jest jego od chwili, kiedy niepewnie polizała mu dłoń. Tak jak Marian była jego od ich pierwszego pocałunku. Kolejne głupie porównanie, ale czy można mieć kontrolę nad tym, jak umysł porządkuje wrażenia? Nie większą niż nad swoimi snami.

– Laurie – powiedział.

– Dlaczego Laurie?

– Nie wiem. Tak mi przyszło do głowy.

– Cóż, niech będzie.

Laurie weszła za nimi do kuchni. Człapiąc.

2

Lloyd rozłożył podkłady higieniczne na włochatym białym dywanie i rozstawił kojec w swojej sypialni (przycinając sobie przy tym palec), po czym poszedł do gabinetu, odpalił komputer i zaczął czytać artykuł pod tytułem *A zatem sprawiłeś sobie szczeniaka!* W połowie lektury uświadomił sobie, że Laurie siedzi koło jego nogi i patrzy na niego z dołu. Postanowił ją nakarmić. Wtedy znalazł kałużę sików na zakręcie między kuchnią a salonem, kilkanaście centymetrów od najbliższego podkładu higienicznego. Wziął psinę na ręce, postawił obok kałuży i powiedział:

– Nie tutaj.

Potem posadził ją na nieskazitelnie czystym podkładzie.

– Rób to tutaj.

Spojrzała na niego, poczłapała z powrotem do kuchni i położyła się przy kuchence, opierając pysk na łapie i bacznie obserwując

Lloyda. Wziął garść papierowych ręczników. Podejrzewał, że co najmniej przez następny tydzień będą w częstym użyciu.

Kiedy wytarł kałużę (bardzo małą, dobre i to), wyspał do miseczki ćwierć szklanki suchej karmy dla szczeniaków – taką dawkę zalecała autorka *A zatem sprawiłeś sobie szczeniaka!* – i dodał jogurt. Laurie dość ochoczo zabrała się do jedzenia. Lloyd patrzył, jak pałaszuje, kiedy zadzwonił jego telefon. Beth. Była na parkingu gdzieś w dziczy przy I-75.

– Powinieneś ją zabrać do weterynarza – rzuciła. – Zapomniałam ci powiedzieć.

– Wiem, Bethie. – To też było w *A zatem sprawiłeś sobie szczeniaka!*

Mówiła dalej, jakby się nie odezwał, kolejny jej nawyk, który dobrze znał.

– Będzie potrzebowała witamin, jak przypuszczam, no i na pewno środka na odrobaczenie plus czegoś przeciw pchłom i kleszczom, domyślam się, że to jakaś tabletkę, którą podaje się razem z jedzeniem. Trzeba ją też będzie wysterylizować. Wykastrować, inaczej mówiąc. Ale to dopiero za jakieś parę miesięcy.

– Tak – powiedział. – Jeśli u mnie zostanie.

Laurie skończyła jeść i powędrowała do salonu. Teraz, kiedy miała pełny brzuch, jej kolebiący chód jeszcze bardziej rzucał się w oczy. Zdaniem Lloyda wyglądała trochę jak pijana.

– Pamiętaj, żeby zabierać ją na spacer.

– Jasne. – Co cztery godziny według *A zatem sprawiłeś sobie szczeniaka!* Absurd zupełny. Nie miał zamiaru wstawać o drugiej w nocy, żeby wyprowadzić nieproszonego gościa na zewnątrz.

Czytanie w myślach było kolejną specjalnością jego siostry.

– Pewnie wydaje ci się, że wstawanie w środku nocy to mordęga.

– Przeszło mi to przez myśl.

Zignorowała to tak, jak tylko ona potrafiła.

– Ale jeśli rzeczywiście, jak mówisz, od śmierci Marian cierpisz na bezsenność, sądzę, że nie będzie to dla ciebie wielkim wyrzeczeniem.

– Jakaś ty wyrozumiała i troskliwa, Bethie.

– Zobaczysz, jak będzie. Tyle chcę powiedzieć. Daj tej małej szansę. – Zawiesiła głos. – I przy okazji sobie. Martwię się o ciebie, Lloyd. Prawie czterdzieści lat pracowałam w firmie ubezpieczeniowej i mogę ci powiedzieć, że mężczyźni w twoim wieku po utracie żony są znacznie bardziej narażeni na choroby. I na śmierć, oczywiście.

Na to nie odpowiedział.

– To jak?

– Co jak? – Jakby nie wiedział, czego dotyczyło pytanie.

– Dasz jej szansę?

Beth żądała od niego podjęcia zobowiązania, na które nie był gotowy. Rozejrzał się w poszukiwaniu natchnienia i wypatrzył kupę – małą kielbaskę – dokładnie tam, gdzie przedtem pojawiła się kałuża sików, kilkanaście centymetrów od najbliższego podkładu higienicznego.

– Cóż, na razie jest tutaj – powiedział. Tylko na tyle mógł się zdobyć. – Jedź ostrożnie.

– Nie przekraczam setki. Wszyscy mnie wyprzedzają i niektórzy trąbią, ale przy wyższych prędkościach nie ufam swojemu refleksowi.

Pożegnał się, wziął jeszcze kilka papierowych ręczników i podniósł kielbaskę z podłogi. Laurie patrzyła na niego swoimi bursztynowymi oczami. Wyprowadził ją na zewnątrz, gdzie nie zrobiła nic. Kiedy dwadzieścia minut później skończył czytać kolejny artykuł o wychowywaniu szceniąt, na podłodze znalazł nową kałużę.

Kilkanaście centymetrów od najbliższego podkładu.

Schylił się, oparł dłonie na kolanach i poczuł znajome, ostrzegawcze strzyknięcie w plecach.

– Jesteś na cenzurowanym, psie.

Spojrzała na niego.

Badawczo.

3

Później tego popołudnia – pojawiły się jeszcze dwie kałuże sików, jedna, o dziwo, na podkładzie higienicznym w kuchni – Lloyd przypiął małą smycz do obroży i zabrał Laurie na spacer, niosąc ją w zgięciu łokcia jak piłkę do futbolu amerykańskiego. Postawił psinę na ziemi i poprowadził ścieżką biegnącą na tyłach małego osiedla. Wiodła na brzeg płytkiego kanału, nad którym przetrzucono most zwodzony. Po obu stronach mostu zrobił się korek, kierowcy musieli czekać, aż droga zabawka jakiegoś nadziańca raczy przepłynąć z Zatoki Oscar's do Zatoki Meksykańskiej. Laurie człapała, kolebiąc się z boku na bok; co pewien czas przystawała, żeby obwąchać kępy zielska, które z jej perspektywy musiały wyglądać jak nieprzebyta dżungla.

Wzdłuż kanału biegła rozpadająca się promenada zwana Ścieżką Sześciomilową (Lloyd nigdy nie rozumiał dlaczego, skoro miała nie więcej niż milę długości). Na niej, między tabliczkami: „Nie śmiecić” a „Zakaz łowienia ryb”, zobaczył swojego sąsiada. Kawałek dalej było ostrzeżenie: „Uwaga na aligatory”, tyle że ktoś zamazał słowo „aligatory” i dopisał sprejem „demokratów”.

Na widok zgarbionego Dona Pitchera, wspartego na eleganckiej mahoniowej lasce i poprawiającego pas przepuklinowy, Lloyd poczuł lekki, ale wyraźny dreszczyk złośliwej satysfakcji. Facet był istną szafą grającą pełną irytujących sądów politycznych

i bezwstydnym sępem żerującym na ludzkich nieszczęściach. Jeśli ktoś na osiedlu umierał, Don wiedział o tym pierwszy. To samo, jeśli któryś z sąsiadów popadał w kłopoty finansowe. Plecy Lloyda nie były w tak dobrym stanie jak kiedyś, oczy i uszy też nie, ale minie jeszcze ładnych parę lat, zanim będzie potrzebował laski i pasa przepuklinowego. Przynajmniej miał taką nadzieję.

– Spójrz na tę łajbę – powiedział Don, gdy Lloyd stanął obok niego na promenadzie (Laurie, może z lęku przed wodą, została w tyle, na końcu smyczy). – Jak myślisz, ilu biednych ludzi w Afryce można by z tego wyżywić?

– Don, nawet głodni raczej nie zjedliby łodzi.

– Wiesz, o czym... A co ty tu masz? Szczeniaczek? Jaki śliczny.

– To suczka – powiedział Lloyd. – Trzymam ją dla siostry.

– Cześć, sunia. – Don wychylił się do przodu i wyciągnął rękę. Laurie cofnęła się i zaszczekała po raz pierwszy, odkąd Beth ją przywiozła: dwa piskliwe, ostre szczeknięcia, potem cisza. Don się wyprostował. – Niezbyt przyjazna, co?

– Nie zna cię.

– Sra, gdzie popadnie?

– Nie jest aż tak źle – odparł Lloyd. Przez chwilę obserwowali płynący jacht żaglowo-motorowy. Laurie siedziała na skraju najeżonej drzazgami promenady i patrzyła na Lloyda.

– Żona nie chce psa – powiedział Don. – Mówi, że nic, tylko brudzą i bałaganią. W dzieciństwie miałem ładną suczkę collie. Wpadła do studni. Przegniła pokrywa się pod nią załamała. Musieliśmy ją wyciągać tym takim, jak to się nazywa...

– Poważnie?

– Tak. Lepiej na nią uważaj, kiedy będziecie szli w pobliżu drogi. Jak wbiegnie na jezdnię, po herbacie. Zobacz, kurczę, jaka ta łajba jest wielka! Dolary przeciwko orzechom, że utknie na mieliźnie.

Nie utknęła.

Kiedy most zwodzony opadł z powrotem i samochody ruszyły, Lloyd spojrzął na Laurie. Leżała na boku i spała. Wziął ją na rękę. Otworzyła oczy, polizała jego dłoń i znów zasnęła.

– Muszę wracać i upichcić coś na kolację. Trzymaj się, Don.

– Ty też. I miej oko na tę małą, inaczej wszystko ci w domu pogryzie.

– Do gryzienia ma zabawki.

Don się uśmiechnął, obnażając krzywe zęby, na których widok Lloyda przeszły ciarki.

– Będzie wołała meble. Zobaczysz.

4

Kiedy tego wieczoru oglądał wiadomości, Laurie podeszła do jego fotela i wydała te same dwa ostre, piskliwe szczeknięcia. Lloyd spojrzął w jej błyszczące oczy, rozważył wszystkie za i przeciw, po czym podniósł ją i posadził sobie na kolanach.

– Zabiję cię, jeśli się na mnie zlejesz – powiedział.

Nie złała się. Zasnęła z nosem wsuniętym pod ogon. Lloyd głąskał ją bezwiednie, oglądając nagranie z telefonu komórkowego pokazujące zamach terrorystyczny w Belgii. Kiedy wiadomości się skończyły, zabrał Laurie na zewnątrz, znów niosąc ją jak piłkę do futbolu amerykańskiego. Przypiął smycz i poszli na skraj Oscar Road, gdzie suczka przykucnęła i się załatwiła.

– I tak ma być – powiedział Lloyd. – Zapamiętaj sobie.

O dziewiątej wyścielił kojec podwójną warstwą podkładów higienicznych – zorientował się, że jutro będzie musiał dokupić ich więcej, razem z ręcznikami papierowymi – i wsadził Laurie do środka. Siedziała i patrzyła na niego. Kiedy podał jej wodę

w filiżance do herbaty, chwilę chleptała, po czym położyła się, nadal nie spuszczać z niego oczu.

Lloyd rozebrał się do majtek i też się położył. Nie przykrył się narzutą. Doświadczenie nauczyło go, że gdyby tak zrobił, rano znalazłby ją na podłodze, zrzuconą w czasie jego nocnego przewalania się z boku na bok. Tego wieczoru jednak zasnął prawie od razu i spał do drugiej w nocy, kiedy obudziły go przenikliwe piski.

Laurie leżała z pyskiem między prętami kojca niczym więzień w izolatce. Na podkładach higienicznych było kilka psich kielbasek. Lloyd stwierdził, że o tej porze na Oscar Road raczej nie będzie przechodniów, których mógłby urazić widok mężczyzny w bokserkach i podkoszulku, włożył więc kaptcie i wyniósł swojego gościa (nadal tak myślał o Laurie) na zewnątrz. Postawił ją na wysypanym muszelkami podejździe. Chwilę człapała to tu, to tam, po czym obwąchała ptasie gównno i nasikała obok niego. Znowu jej powiedział, żeby sobie zapamiętała, że ma tak robić. Usiadła i spojrzała na pustą drogę. Lloyd podniósł wzrok ku gwiazdom. Pomyślał, że nigdy tylu nie widział, po czym stwierdził, że owszem, widział, ale dawno temu. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wyszedł z domu o drugiej w nocy. Nie pamiętał. Patrzył na Drogę Mleczną niemal jak zahipnotyzowany, aż uświadomił sobie, że zasypia na stojąco. Wniósł szczeniaka z powrotem do domu.

Laurie obserwowała go w milczeniu, kiedy zmieniał obrane podkłady higieniczne, ale gdy tylko wsadził ją z powrotem do kojca, znów zaczęła zawodzić. Pomyślał, czy nie wziąć jej do łóżka, ale według *A zatem sprawiłeś sobie szczeniaka!* to był fatalny pomysł. Autorka (niejaka Suzanne Morris, lekarz weterynarii) stwierdziła jednoznacznie: „Jak już raz wejdiesz na tę drogę, bardzo trudno z niej zawrócić”. Poza tym myśl, że po przebudzeniu miałby zobaczyć jedną z tych małych brązowych kielbasek po stronie łóżka, na

której kiedyś spała jego żona, nie była zbyt przyjemna. Nie dość, że byłoby to w jakimś sensie profanacją, to jeszcze musiałby potem zmienić pościel – obowiązek, którego nie znosił, bo zawsze źle mu to wychodziło.

Poszedł do pokoju, który Marian nazywała swoją norą. Większość jej rzeczy wciąż tam była; wbrew silnym sugestiom siostry, żeby się tym zajął, na razie nie miał serca ich powynosić. Od śmierci Marian rzadko tu zaglądał. Nawet widok zdjęć na ścianach sprawiał mu ból, zwłaszcza o drugiej w nocy. Pomyślał, że o tej porze ludzie mają cieńszą skórę. Zaczyna grubieć dopiero koło piątej, kiedy na wschodzie ukazują się pierwsze promienie świtu.

Marian nigdy nie przerzuciła się na iPoda, ale przenośny odtwarzacz kompaktów, który zabierała na zajęcia gimnastyczne dwa razy w tygodniu, leżał na półce nad jej małą kolekcją płyt. Lloyd zerknął pod klapkę z tyłu urządzenia i zobaczył, że na bateriach AAA nie ma śladu rdzy. Przejrzał płyty, na chwilę zatrzymał się przy Hallu i Oatesie, po czym zdecydował się na *Joan Baez's Greatest Hits*. Włożył kompakt do odtwarzacza i kiedy zamknął pokrywę, płyta ku jego zadowoleniu zaczęła się kręcić. Zabrał odtwarzacz do sypialni. Kiedy wszedł, Laurie od razu przestała wyć. Nacisnął „play” i Joan Baez zaśpiewała *The Night They Drove Old Dixie Down*. Położył płytę na jednym ze świeżych podkładów higienicznych. Laurie obwąchała ją i legła obok, prawie dotykając nosem naklejki z napisem „Własność Marian Sunderland”.

– Lepiej? – spytał. – Mam, kurde, nadzieję, że tak.

Wrócił do łóżka i wsunął dłonie pod poduszkę, gdzie było chłodno. Słuchał muzyki. Kiedy Baez śpiewała *Forever Young*, trochę się zjeżył. Takie przewidywalne, pomyślał. Taki banał. Potem zasnął.

Wrzesień przeszedł w październik, najlepszy miesiąc roku w stanie Nowy Jork, gdzie mieszkali z Marian do jego emerytury, a także, zdaniem Lloyda (IMHO, jak piszą na Facebooku), najlepszy miesiąc tutaj, na zachodnim wybrzeżu Florydy. Przeminięły najgorsze upały, ale dni wciąż były ciepłe, a do zimnych nocy stycznia i lutego zostało jeszcze sporo kartek kalendarza. Wtedy też zjedzie się większość turystów uciekających przed mrozami, na razie jednak most zwodzony Oscar, zamiast się podnosić i opuszczać pięćdziesiąt razy na dobę, powodował zakłócenia w ruchu nie częściej niż kilkanaście razy dziennie. A ruch był tak mały, że utrudnienia nie były szczególnie uciążliwe.

Restaurację Fish House na Cayman Key znów otwarto po trzy-miesięcznej przerwie. Klienci mogli przychodzić z psami, które wpuszczano na tak zwany psi taras. Lloyd często przyprowadzał tam Laurie Ścieżką Sześciomilową wzdłuż kanału. Przenosił ją nad kępami kłoci zarastającymi przejście, za to bez trudu przemykała pod karłowatą palmą, przez której zwisające gałęzie on musiał się przebijać z pochyłoną głową, odgarniając najgęstsze pęki liści, zawsze w strachu, że szczur drzewny wplącze mu się we włosy, choć nigdy tak się nie stało. Kiedy przychodzili do restauracji, Laurie siedziała cicho w słońcu u jego stóp, od czasu do czasu nagradzana za dobre zachowanie kawałkiem frytki (zamawiał rybę z frytkami). Wszystkie kelnerki wznosiły nad nią ochy i achy i schylały się, żeby pogłaskać jej przydymioną szarą sierść.

Bernadette, hostessa, była nią szczególnie urzeczona.

– Ten pyszczek – mówiła zawsze, jakby to wszystko wyjaśniało. Klękała obok Laurie, co pozwalało wdzięcznemu Lloydowi do woli podziwiać zawartość jej dekoltu. – Ach, ten pyszczek!

Laurie tolerowała to, że jest obiektem zainteresowania, ale niespecjalnie jej na tym zależało. Siedziała tylko i patrzyła na swoje nowe wielbicielki, po czym kierowała wzrok z powrotem na Lloyda. Po części może dlatego, że liczyła na frytki, ale na pewno nie był to jedyny powód; równie bacznie przyglądała się mu, kiedy oglądał telewizję. Dopóki nie zasypiała.

Szybko nauczyła się czystości i wbrew przepowiedni Dona nie gryzła mebli. Gryzła swoje zabawki, których liczba wzrosła z trzech do sześciu, a potem do tuzina. Lloyd znalazł starą skrzynię, w której można je było przechowywać. Laurie podchodziła do niej co rano, stawiała przednie łapy na jej krawędzi i oglądała zawartość jak klient kupujący produkty rolne w Publix. Wybierała jedną z zabawek, szła z nią w kąt i gryzła ją, dopóki jej się nie znudziło. Wtedy wracała do skrzyni po następną. Pod koniec dnia zabawki walały się po całym domu, w sypialni, salonie i kuchni. Ostatnim zajęciem Lloyda przed snem było zebranie ich i zanieśenie do skrzyni. Nie dlatego, że bałagan mu przeszkadzał, tylko z uwagi na to, że psina miała tak dużą frajdę z porannego przeglądu swoich skarbów.

Beth często dzwoniła, żeby sprawdzić, jak brat się odżywia, przypomnieć mu o urodzinach i rocznicach ślubu starych znajomych i starszych krewnych, a także powiadomić go, kto ostatnio kopnął w kalendarz. Na koniec zawsze pytała, czy Laurie nadal jest na okresie próbnym. Lloyd mówił „tak” aż do pewnego dnia w połowie października.

Właśnie wrócili z Fish House i Laurie spała rozwalona na grzbiecie pośrodku salonu, z nogami wyciągniętymi na cztery strony świata. Podmuch z klimatyzatora mierzwił sierść na jej brzuchu i wtedy Lloyd uświadomił sobie, że psina jest piękna. To nie było uczucie, tylko prosty fakt. Tak samo myślał o gwiazdach, kiedy wieczorem wyprowadzał ją na ostatnie sikanie.

– Nie, okres próbny chyba mamy za sobą. Ale jeśli ona mnie przeżyje, Bethie, albo zabierzesz ją do siebie... pieprzyć uczulenie Jima... albo znajdziesz jej dobry dom.

– Zrozumiałam, Gumowa Kaczko. – Gumową Kaczkę zapożyczyła ze starej piosenki o tirowcach z lat siedemdziesiątych i tak jej zostało. Jeszcze jedno, co Lloyda w niej rozczułało i jednocześnie diabelnie irytowało. – Tak się cieszę, że dobrze się wam układa. – Zniżyła głos. – Prawdę mówiąc, nie wierzyłam w to.

– W takim razie dlaczego ją przywiozłaś?

– To był strzał w ciemno. Wiedziała, że potrzeba ci czegoś, z czym będzie więcej roboty niż ze złotą rybką. Nauczyła się szczekać?

– Nie tyle szczeka, ile poszczekuje. Na listonosza, kuriera UPS i Dona, kiedy wpada na piwo. Jedno hau, drugie hau i koniec. Może kiedyś tu zajrzysz?

– Ostatnio ja byłam u ciebie. Teraz twoja kolej, żeby przyjechać do nas.

– Będę musiał wziąć ze sobą Laurie. Nie zostawię jej z Donem i Evelyn Pitcherami, nie ma mowy. – Patrząc na śpiącą suczkę, zrozumiał, że nie zostawi jej z nikim. Nawet w czasie krótkich wypadów do supermarketu martwił się o nią i zawsze oddychał z ulgą, kiedy po powrocie zastawał ją czekającą pod drzwiami.

– No to ją przywieź. Chętnie zobaczę, jak bardzo urosła.

– A uczulenie Jima?

– Pieprzyć uczulenie Jima – powiedziała Beth i rozłączyła się ze śmiechem.

6

Kiedy już skończyła się rozplýwać w zachwytach nad Laurie – która, nie licząc jednego przystanku w celu opróżnienia pęcherza,

spłała przez całą drogę do Boca – Beth przeszła do zwykłych priorytetów starszej siostry. Chociaż zawsze miała pod dostatkiem powodów, żeby suszyć mu głowę (była w tym wirtuozem), tym razem tematem numer jeden był doktor Albright i konieczność, by Lloyd wreszcie poszedł do niego na długo odkładane badanie okresowe.

– Chociaż dobrze wyglądasz – powiedziała. – Muszę przyznać. Nawet chyba się opaliłeś. O ile to nie żółtaczka.

– Zawsze potrafisz mi dodać otuchy, Bethie. Tak, to opalenizna. Wyprowadzam Laurie trzy razy dziennie. Rano na plażę, Ścieżką Sześciomilową do Fish House w porze lunchu i wieczorem znów na plażę. Żeby obejrzeć zachód słońca. Na niej nie robi wrażenia, psy nie mają zmysłu estetyki, ale mnie się podoba.

– Chodzisz z nią po promenadzie? Jezu, Lloyd, przecież to ruina. Pewnego dnia zawali się pod tobą i wpadniesz do kanału razem z tą księżniczką. – Beth pogłaskała Laurie po głowie. Suczka przymknęła oczy i jakby się uśmiechnęła.

– Wytrzymała co najmniej czterdzieści lat. Pewnie przetrwa dłużej ode mnie.

– Umówiłeś się już z lekarzem?

– Nie, ale zamierzam.

Podniosła swój telefon.

– Załatw to od razu. Chcę przy tym być.

Po jej minie poznał, że nie wierzy, iż się na to zdobędzie, i między innymi dlatego to zrobił. Ale nie tylko z tego powodu. W minionych latach lękał się wizyt u lekarza; przed każdą spodziewał się (niewątpliwie pod wpływem niezliczonych seriali telewizyjnych), że doktor tym razem spojrzy na niego z poważną miną i powie: „Mam złą wiadomość”.

Teraz jednak czuł się dobrze. Wstając rano z łóżka, miał sztywne nogi, pewnie wskutek częstych spacerów, a w plecach trzeszczało

mu jak nigdy, ale poza tym nie odczuwał niczego niepokojącego. Wiedział, że różne paskudztwa mogą niepostrzeżenie rosnąć w starym ciele – pomału, milimetr po milimetrze, dopóki nie przyjdzie pora ruszyć z kopyta – ale na razie nic się nie rozwinęło na tyle, by wywołać jakiegokolwiek objawy: żadnych śladów krwi w stolcu ani ślinie, brak bólów brzucha, kłopotów z przełykaniem, pieczenia przy oddawaniu moczu. Uznał, że znacznie łatwiej wybrać się do lekarza, kiedy organizm mówi ci, że nie masz po temu żadnego powodu.

– Czemu się uśmiechasz? – spytała Beth podejrzliwie.

– Bez powodu. Daj to.

Sięgnął po jej telefon, ale cofnęła dłoń.

– Jeśli naprawdę chcesz to zrobić, skorzystaj z własnego.

7

Dwa tygodnie po badaniu doktor Albright zaprosił go na omówienie wyników. Były dobre.

– Waga mniej więcej w normie, ciśnienie też, odruchy w porządku. Poziom cholesterolu lepszy niż ostatnio, kiedy dałeś sobie pobrać krew...

– Wiem, trochę czasu minęło – powiedział Lloyd. – Chyba za dużo.

– Nie chyba, tylko na pewno. Na razie nie musisz przyjmować lipidów, co powinieneś uznać za sukces. Bierze je co najmniej połowa moich pacjentów w twoim wieku.

– Dużo chodzę – powiedział Lloyd. – Siostra dała mi psa. Szczeniaka.

– Szczeniaki to dar od Boga dla tych, którzy potrzebują ruchu. Poza tym jak się czujesz? Trzymasz się jakoś?

Albright nie musiał doprecyzować pytania. Marian też była jego pacjentką, znacznie sumienniej od męża stawiającą się na copółroczne badania – Marian Sunderland była pod każdym względem przezorna – ale przezorność nie mogła nic poradzić na nowotwór, który najpierw odebrał jej inteligencję, a potem ją zabił. Tkwił zbyt głęboko. Glejak, pomyślał Lloyd, to kula kalibru czterdzieści pięć milimetrów wystrzelona przez Boga prosto w mózg.

– Nie najgorzej, dziękuję – odparł. – Znowu śpiam. Prawie każdego wieczoru kładę się do łóżka zmęczony, to pomaga.

– Dzięki psu?

– Tak. Głównie.

– Powinieneś zadzwonić do siostry i jej podziękować – stwierdził Albright.

Lloyd uznał, że to dobry pomysł. Zadzwonił do niej jeszcze tego samego wieczoru. Beth powiedziała, że nie ma sprawy. Lloyd zabrał Laurie na spacer po plaży. Obejrzał zachód słońca. Laurie znalazła martwą rybę i ją obsikała. Oboje wrócili do domu zadowoleni.

8

Szósty grudnia tego roku zaczął się zwyczajnie – spacer po plaży, a potem śniadanie: Gaines Meal dla Laurie, jajecznica z grzanką dla Lloyda. Nic nie wskazywało na to, że Bóg odbezpieczył swoją czterdziestkępiątkę.

Lloyd obejrzał pierwszą godzinę programu *Today*, po czym poszedł do nory Marian. Ostatnio, żeby dorobić do emerytury, pomagał w prowadzeniu rachunków Fish House i salonu samochodowego z Sarasoty. Żadnej presji, zero stresu i choć pieniędzy mu nie brakowało, miło było znów pracować. Poza tym odkrył, że woli biurko Marian od własnego. Jej płyty też mu się podobały. Jak

zawsze. Sądził, że byłaby zadowolona, że jej pokój się do czegoś przydaje.

Laurie siedziała przy jego krześle, gryząc w zadumie zabawkowego królika, po czym się zdrzemnęła. O wpół do jedenastej Lloyd zapisał efekty swojej pracy na twardym dysku i odsunął się od komputera.

– Czas na przekąskę, mała.

Poszła za nim do kuchni i dostała pałeczkę z niewyprawionej skóry. Lloyd nalał sobie mleka i zjadł parę ciastek, które przysłała Beth, mimo że do Bożego Narodzenia zostało jeszcze trochę czasu. Były przypalone od dołu (pripalone ciastka świąteczne były kolejną specjalnością Beth), ale jadalne.

Trochę poczytał – ostatnio przedzierał się przez pokaźne *oeuvre* Johna Sandforda – aż znajome pobrzękiwanie przywróciło go do rzeczywistości. Laurie stała przy drzwiach wyjściowych i trącała pyskiem stalową klamrę smyczy zawieszanej na gałce. Lloyd spojrział na zegarek. Za piętnaście dwunasta.

– Dobrze, już idę.

Przypiął jej smycz, obmacał lewą kieszeń spodni dla pewności, że wziął portfel, i pozwolił, żeby Laurie wyprowadziła go na blask słońca. Kiedy szli w stronę Ścieżki Sześciomilowej, zobaczył, że Don już zaczął wystawiać te swoje koszmarnie plastikowe dekoracje świąteczne: szopka (sacrum), duży plastikowy Święty Mikołaj (profanum) i kolekcja krasnali ogrodowych przebranych za elfy (przynajmniej Lloyd podejrzewał, że taki był zamysł). Wkrótce, narażając życie, wdrapie się na drabinę i rozwiesi mrugające lampki, które upodobnią dom Pitcherów do najmniejszego na świecie pływającego kasyna. W poprzednich latach ozdoby Dona działały na Lloyda przygnębiająco, dziś jednak na ich widok się roześmiał. Trzeba to sukinsynowi oddać. Miał artretyzm, kiepski

wzrok i chore plecy, ale się nie poddawał. Jak Boże Narodzenie, to Boże Narodzenie.

Evelyn wyszła na taras za domem Pitcherów. Miała na sobie krzywo zapiętą różową podomkę, jej policzki były wymazane białawożółtym kremem, włosy sterczały na wszystkie strony. Don zwierzył się Lloydowi, że jego żona zaczyna trochę bzikować, i jej dzisiejszy wygląd zdawał się to potwierdzać.

– Nie widziałeś go aby? – zawołała.

Laurie podniosła łeb i powitała ją tradycyjnymi dwoma szczenięciami.

– Kogo? Dona?

– Nie, Johna Wayne’a! Pewnie, że Dona, kogóż by innego?

– Nie – odparł Lloyd.

– Jak go zobaczysz, powiedz mu, żeby przestał się objąć i dokończył te cholerne dekoracje. Lampki wiszą, a trzej królowie jeszcze w garażu! Na mózg mu padło!

Chyba nie tylko jemu, pomyślał Lloyd.

– Przekażę, jak go zobaczę.

Evelyn niebezpiecznie wychyliła się za balustradę.

– Ładny pies! Przypomnij no, jak się wabi?

– Laurie – powiedział jej Lloyd po raz enty.

– Och, suka, suka, suka! – krzyknęła Evelyn z wręcz szekspirowską emfazą, po czym zarechotała. – Będę zadowolona, kiedy te cholerne święta się skończą. To też możesz mu przekazać!

Wyprostowała się (Lloydowi ulżyło z tego powodu; wątpił, czy zdołałby ją złapać, gdyby się przewaliła przez balustradę) i wróciła do środka. Laurie wstała i potruchtala na promenadę, kierując pysk w stronę aromatów smażenia płynących z Fish House. Lloyd się odwrócił i ruszył za nią; nie mógł już się doczekać zapiekanego łososia z ryżem. Smażone potrawy ostatnio mu nie służyły.

Kanał wił się meandrami, Ścieżka Sześciomilowa razem z nim leniwie zakręcała to w lewo, to w prawo, trzymając się zarośniętego brzegu. Tu i ówdzie brakowało pojedynczych desek. Laurie przystanęła, żeby popatrzeć na pelikana, który zanurkował i wychynął na powierzchnię z rybą szamoczącą się w workowatym dziobie, po czym poszli dalej. Zatrzymała się znowu przed kępą kłoci wyrastającą spomiędzy dwóch spaczonych desek. Lloyd wziął psinę pod brzuch i przeniósł na drugą stronę – była już za duża, żeby trzymać ją jak piłkę futbolową. Kawalek dalej, tuż przed następnym zakrętem, rosła karłowata palma, której gałęzie tworzyły niski łuk nad promenadą. Laurie była na tyle mała, że mogła przejść dołem, ale dziś stanęła i zaczęła węszyć. Lloyd dogonił ją i schylił się, ciekaw, co takiego znalazła. Na deskach leżała laska Dona Pitchera. Choć była wykonana z solidnego mahoni, przecinało ją pęknięcie. Rysa zaczynała się u dołu, nad gumową nakładką, i sięgała do połowy długości laski.

Lloyd podniósł ją i obejrzał trzy–cztery plamki krwi na drewnie.
– Niedobrze. Lepiej zawró...

Suczka jednak już wyskoczyła naprzód, wrywając smycz z jego dłoni. Zniknęła pod zielonym łukiem, uchwyt smyczy koziołkował za nią ze stukotem. A potem rozległo się szczekanie, nie piskliwe, jak zwykle, lecz seria głębszych dźwięków, do jakich Laurie dotąd wydawała się niezdolna. Lloyd, zaniepokojony, przedarł się przez listowie palmy, rozgarniając je laską. Gałęzie smagały jego policzki i czoło. Na niektórych były krople i plamy krwi. Krew była też na deskach.

Laurie stała po drugiej stronie. Jej przednie nogi były rozstawione, grzbiet wygięty, pysk dotykał desek promenady. Ujadała na aligatora. Matowozielony w czarne plamy, dorosły, co najmniej trzymetrowej długości, wpatrywał się w szczekającego psa

pozbawionymi blasku ślepiami. Leżał rozwalony na ciele Dona Pitchera, jego tępy, szeroki nos spoczywał na spalonej słońcem szyi mężczyzny, krótkie, pokryte łuskami przednie łapy zaborczo obejmowały jego kościste ramiona. To był pierwszy aligator, jakiego Lloyd widział od wizyty w Jungle Gardens w Sarasocie z Marian, lata temu.

Czubek głowy Dona praktycznie zniknął. Pogruchotane kości sterczały z resztek jego włosów. Na policzku stygła jeszcze mokra struga krwi, zmieszanej z nitkami czegoś o konsystencji owsianki. Lloyd zrozumiał, że patrzy na mózg Dona Pitchera. Kiedy uprzytomnił sobie, że raptem kilka minut temu Don myślał przy użyciu tej brei, świat stracił dla niego sens.

Uchwyt smyczy Laurie spadł z promenady do kanału. Nadal szczełała. Aligator patrzył na nią; na razie leżał nieruchomo. Wyglądał nadzwyczaj głupio.

– Laurie! Zamknij się! Kurwa, zamknij się!

Przypomniał sobie, jak Evelyn Pitcher stała na swoim tylnym tarasie niczym aktorka na proscenium i krzyczała: „Och, suka, suka, suka!”.

Laurie przestała szczełać, ale z głębi jej gardła wciąż dobywał się warkot. Wyglądała, jakby nagle stała się dwa razy większa, bo matowa ciemnoszara sierść zjeżyła się nie tylko na jej karku, ale i na całym ciele. Lloyd przykląkł na jedno kolano, bacznie obserwując aligatora, po czym włożył lewą rękę do kanału, szukając smyczy. Wymacał linkę, poderwał uchwyt, ścisnął go w dłoni i wstał, ani na chwilę nie spuszczając z oka zielono-czarnej bestii spoczywającej na ciele Dona. Pociągnął za smycz. Początkowo efekt był taki, jakby próbować ruszyć z miejsca słupek wbity w ziemię – Laurie tak mocno stała na łapach – ale w końcu odwróciła się do niego. W tej samej chwili aligator uniósł ogon i opuszcił go gwałtownie.

Rozległo się głośne trzaśnięcie, kropelki wody prysnęły na wszystkie strony, promenada się zatrzęsła. Laurie skuliła się i wskoczyła na tenisówki Lloyda.

Schylił się i wziął ją na rękę, nie odrywając oczu od aligatora. Ciało Laurie drżało, jakby przeszywał je prąd. W jej szeroko otwartych oczach widać było białka. Lloyd był zbyt oszołomiony widokiem aligatora leżącego na trupie jego sąsiada, żeby się bać, a kiedy pierwsze odrętwienie minęło, poczuł nie strach, lecz podsztyty troską gniew. Odpiął smycz od obroży Laurie.

– Idź do domu. Rozumiesz mnie? Do domu. Będę szedł za tobą.

Upuścił smycz na ziemię i pochylił się, wciąż bacznie obserwując aligatora (który przez cały czas bacznie obserwował jego). Kiedy Laurie była mniejsza, wiele razy nosił ją w zgięciu łokcia jak piłkę futbolową; teraz podał ją do tyłu jak rozgrywający, między nogami, prosto pod łuk z gałęzi palmy.

Nie było czasu sprawdzić, czy uciekła. Aligator zaatakował. Był zdumiewająco, wprost niewiarygodnie szybki; odepchnął się tylnymi nogami od ciała Dona, odrzucając je półtora metra w tył. Paszcza stwora rozwarła się, ukazując kły przypominające brudny płot. Na jego chropawym, różowawo-czarnym języku Lloyd widział strzępy koszuli Dona.

Zamachnął się laską i uderzył z boku. Trafiła aligatora w łeb pod jednym z tych dziwnie pustych oczu i rozłupała się wzdłuż rysy w mahoniu. Odłamany kawałek, wirując, wpadł do kanału. Aligator na chwilę znieruchomiał, jakby zaskoczony, po czym znów ruszył do ataku. Lloyd słyszał stukot jego pazurów na deskach. Paszcza gada otworzyła się szeroko, dolna szczęka szurała po promenadzie, wzbijając z niej szare drzazgi.

Wszelkie myśli Lloyda pierzchły. Jakaś głębsza część jego „ja” przejęła nad nim władzę. Wbił poszarpany koniec mahoniowej

laski w białawe mięso z boku płaskiego łba aligatora. Ściskając uchwyt laski obiema rękami, wychylił się do przodu i napał ile sił. Aligatora na chwilę odrzuciło w bok. Zanim mógł się pozbierać, rozbrzmiała szybka seria trzasków, niczym dźwięk strzałów ślepa-kami z pistoletu startowego. Część starej promenady zapadła się i górna połowa ciała aligatora zsunęła się do kanału. Młóćący ogon łupnął w przekrzywione deski, aż ciało Dona podskoczyło. Woda się zakotłowała. Lloyd z trudem ustał na nogach; zrobił krok do tyłu, po czym, gdy łeb aligatora wynurzył się z powrotem i kłapnęły potężne szczęki, dźgnął raz jeszcze, na chybił trafił. Poszarpany mahoniowy kikut wbił się w oko gada. Aligator odchylił się do tyłu; gdyby Lloyd nie puścił wygiętej rączki laski, zostałby wciągnięty do wody razem z nią.

Odwrócił się i przebiegł pod palmą, z rękami wyciągniętymi przed siebie, spodziewając się, że lada chwila poczuje ugryzienie albo wzleci w powietrze, gdy aligator wpłynie pod promenadę, wybije się z mulistego dna i uderzy w deski od dołu. Wpadł po drugiej stronie, upstrzony krwią Dona i krwawiący z kilkunastu zadrapań.

Laurie nie uciekła; stała trzy metry dalej. Kiedy zobaczyła Lloyda, pomknęła do niego, sprężyła się i skoczyła. Złapał ją (jak piłkę do futbolu amerykańskiego, jak podanie ostatniej szansy) i biegł dalej, prawie nieświadom, że Laurie wierci się w jego ramionach, skomle i gorączkowo liże go po twarzy. Chociaż później to sobie przypomni.

Kiedy zszedł z promenady na ścieżkę wysypaną muszelkami, obejrzał się, przekonany, że zobaczy aligatora pędzącego za nimi z tą niesamowitą, zaskakującą prędkością. W połowie odcinka dzielącego go od domu nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Usiadł; płakał i trząsł się na całym ciele. Raz po raz oglądał się za siebie, wypatrując nadciągającej bestii. Laurie nadal lizała go po twarzy, ale już jakby

mniej drżała. Kiedy poczuł się na siłach ruszyć dalej, wstał i zaniósł ją pod sam dom. Dwa razy zrobiło mu się słabo i musiał przystanąć.

Gdy włókł się do tylnych drzwi, Evelyn wyszła na swój taras.

– Jak będziesz tak nosił psa, to się przyzwyczai i zawsze będzie tego oczekiwał. Widziałeś może Dona? Musi porozwieszać resztę tych swoich dekoracji.

Nie widzi krwi, pomyślał Lloyd, czy nie chce jej widzieć?

– Zdarzył się wypadek.

– Jaki wypadek? Ktoś znów wjechał w ten cholerny most?

– Idź do środka – powiedział.

Wszedł do swojego domu, nie sprawdzając, czy go posłuchała. Nalał Laurie wody do miski. Zaczęła łapczywie pić. Potem zadzwonił na 911.

9

Wyglądało na to, że zaraz po odnalezieniu ciała Dona policja poszła do domu Pitcherów, bo Lloyd usłyszał krzyki Evelyn. Prawdopodobnie nie trwały długo, ale miał wrażenie, że minęła cała wieczność, zanim ucichły. Zastanawiał się, czy tam pójść, czy spróbować ją pocieszyć, ale uznał, że nie jest w stanie. Był zmęczony jak chyba nigdy w życiu, nawet bardziej niż po treningach szkolnej drużyny futbolu amerykańskiego w upalne sierpniowe popołudnia. Chciał tylko siedzieć w swoim wygodnym fotelu z Laurie na kolanach. Suczka zasnęła z nosem przy ogonie.

Przyszła policja. Przesłuchali go. Stwierdzili, że miał niesłychane szczęście.

– A oprócz tego wykazał pan nie lada przytomność umysłu – powiedział jeden z gliniarzy. – Żeby przepędzić go laską pana Pitchera... nieźle.

– Dopadłby mnie mimo to, gdyby zewnętrzna część promenady nie zawałiła się pod jego ciężarem – stwierdził Lloyd. I pewnie dopadłby Laurie. Bo Laurie nie uciekła do domu. Laurie czekała.

Wieczorem wzięła ją do swojego łóżka. Spała po stronie Marian. Sam prawie nie zmrużył oka. Ilekroć zapadał w sen, przypominał mu się widok aligatora rozwalonego na ciele Dona. Jego tępa zaborczość. Puste czarne oczy. Paszcza rozwarta, wydawało się, w szerokim uśmiechu. Niespodziewana prędkość, z jaką się zerwał do pościgu.

A potem głąskał śpiącego obok psa po głowie.

Nazajutrz przyjechała Beth. Obsztorcowała go, ale dopiero po tym, jak już go wyściskała i wycalowała. Lloydowi przypomniało się, jak gorączkowo Laurie lizała jego twarz, gdy wyłonił się pomiędzy splątanych gałęzi palmy.

– Kocham cię, stary durniu – powiedziała Beth. – Dzięki Bogu, że żyjesz.

Potem wzięła Laurie na ręce i ją przytuliła. Laurie zniosła to cierpliwie, ale gdy tylko Beth postawiła ją na podłodze, poszła szukać swojego gumowego królika. Zabrała go w kąt i po chwili dobiegły stamtąd jego piski. Lloyd był ciekaw, czy wyobraża sobie, że rozrywa aligatora na strzępy, i powiedział sobie, że jest głupi. Nie można robić z nich czegoś, czym nie są. Nie wyczytał tego w *A zatem sprawiłeś sobie szczeniaka!* To jedna z tych rzeczy, o których każdy przekonuje się sam.

10

Następnego dnia po wizycie Beth do Lloyd'a przyjechał strażnik łowiecki z florydzkiego Fish and Wildlife Service. Usiedli w kuchni i strażnik, który nazywał się Gibson, przyjął szklanekę mrożonej

herbaty. Laurie przez pewien czas z przyjemnością obwąchiwała jego buty i nogawki, po czym zwinęła się w kłębek pod stołem.

– Złapaliśmy tego aligatora – powiedział Gibson. – Ma pan szczęście, że pan żyje, panie Sunderland. Duży był jak cholera.

– Wiem – odparł Lloyd. – Uśpiliście go?

– Nie. Trwają dyskusje, czy to zrobić. Kiedy zaatakował pana Pitchera, bronił gniazda z jajami.

– Gniazda?

– Właśnie.

Lloyd zawołał Laurie. Przyszła. Wziął ją na ręce i zaczął głaskać.

– Jak długo tam siedział? Prawie codziennie chodziłem z psem do Fish House tą cholerną promenadą.

– Okres inkubacji normalnie trwa sześćdziesiąt pięć dni.

– I ta bestia była tam przez cały ten czas?

Gibson skinął głową.

– Prawie. Zagrzebana w chwastach i kłoci.

– Patrzyła, jak przechodzimy.

– Pan i wszyscy inni, którzy korzystali z promenady. Pan Pitcher musiał niechcący zrobić coś, co obudziło w niej, cóż... – Gibson wzruszył ramionami. – Nie instynkt macierzyński, tak tego raczej nie można nazwać, po prostu mają zakodowane, że muszą chronić gniazdo.

– Pewnie machnął laską w jej stronę – stwierdził Lloyd. – Zawsze nią wymachiwał. Może nawet ją uderzył. Albo gniazdo.

Gibson dopił mrożoną herbatę i wstał.

– Pomyślałem, że pewnie chciałby pan to wiedzieć.

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy. Ładna psina. Krzyżówka border collie z czym?

– Z mudi.

– Jasne. Teraz widzę podobieństwo. I była z panem tamtego dnia.

– Szła przodem, szczerze mówiąc. Pierwsza zobaczyła aligatora.
– Ona też ma szczęście, że żyje.
– Tak. – Lloyd pogłaskał Laurie. Podniosła na niego swoje bursztynowe oczy. Zastanawiał się, jak prawie zawsze, co widzi w twarzy patrzącej na nią z góry. Taka sama tajemnica jak gwiazdy, które oglądał, kiedy wyprowadzał ją na wieczorny spacer.

Gibson podziękował mu za mrożoną herbatę i wyszedł. Lloyd jeszcze chwilę posiedział w kuchni, przeczesując dłonią matową szarą sierść. Potem zostawił Laurie, żeby zajęła się swoimi sprawami, a sam zajął się swoimi. To jest życie. Jesteś na nie skazany; jedyne, co możesz zrobić, to je żyć.

Myśląc o Vixen